

Anarcho-Biblioteka
Dobry pieróg to wywrotowy pieróg



Maria Dąbrowska
Myśli kooperatysty
1914

lewicowo.pl

Notatka lewicowo.pl: Powyższy tekst pierwotnie ukazał się w „Jednodniówce Społem!” – publikacji zbiorowej propagującej spółdzielczość, Warszawa 24 marca 1914, wydanej przez Warszawski Związek Stowarzyszeń Spożywczych. Od tamtej pory nie był wznawiany, poprawiono pisownię według obecnych reguł. **Tekst publikujemy w 150. rocznicę spółdzielczości spożywców w Polsce, przypadającą w roku 2019 z powodu założenia pierwszych spółdzielni spożywców na ziemiach polskich w roku 1869 – w Warszawie.**

pl.anarchistlibraries.net

Myśli kooperatysty

Maria Dąbrowska



1914

Patrzcie na białe, złote i srebrne chmury – słuchajcie, jak ponad łąki, którą zalały blade jeziora wiosennej wody kuźlą czajki.

Wiosna. Czarodziejka.

Tylko małe żółte kwiatki zakwitły na łące, a zdaje się, że sto słońc jasných zapaliło się w sercu człowieka. Tylko małe drzeweczka, stojące rzędem wzdłuż ulicy miasta zazieleniły się – a zdaje się, jakoby zakwitła wszystka nadzieja na szczęście i jakby bliska była już spełnienia.

Jaskółki lecą nad ogrodem. Ich skrzydła biją w ciszę powietrza, tak radośnie, jak moje serce. A serce moje bije z sercem wszystkich ludzi. Któżby się nie cieszył, gdy pierś może odetchnąć słodkim powietrzem wiosny?

Środkiem wielkich ulic miasta pędzą lśniące samochody i ciche konne karety. Patrzą z nich wesołe i jasne twarze kobiet. Chodnikiem wielkowiejskich alei płynie tęczową falą tłum rozradowany, kolorowy.

Mży na jasne stroje zielone lśnienie liści. Tam w prześlicznej kawiarni rozweseleni ludzie chłodzą się wytwornymi lodami z poziomek.

A jednak...

Nie wszyscy jednakowo się cieszą – nie wszyscy całą pierś wdechają urok wiosenny.

Jest niedziela.

Więc na ulicę wyległy również tłumy jakby innych ludzi. Twarze ich znużone – a ubrania z trudem usiłują stać się piękniejsze na ten wiosenny dzień.

To robotnicy wszelkiego rodzaju. Podczas kiedy ludzie bogaci znajdą co dnia chwilę, by odetchnąć urokiem wiosny, oni tylko w niedzielę wylegają, by podziwiać Jej piękno. Mają do tego prawo – jak wszyscy. Chcieliby dać chwilę pełnej radości sobie i swoim ukochanym.

Oto pośród barwnego tłumy idzie gromadka, szaro odzianych robotników murarskich. U wylotu ulicy wyrasta nagle przed nimi wspaniały gmach. To gmach teatru. Robotnicy patrzą bez zdziwienia. Czyż ręce budowały ten gmach? Ich ręce. Był on niegdyś tak bliski ich sercu. Własnymi rękoma układali potężne kamienie – wykonywali złozenia. Marzyło się niejednemu z nich, gdy cudną sklepał widownię, że może kiedyś będzie się tutaj upajał sam piękną widowisk. Dziś daleko odsunął się od nich gmach dumny, dzieło ich rąk.

Teraz mozolnie obliczają oni w myśli, czy mogą sobie pozwolić na pójście wieczorem do podrzędniejszego kinematografu. A do teatru ciągną barwne, wesołe, ślicznie odziane tłumy, by wybuchać najpiękniejszej na świecie muzyki wielkiego kompozytora Wagnera.

nia – obok zbudowano teatr i salę koncertową. W innej sali mieści się kinematograf.

Znikają z marszeczki niechęci z czoła robotnika. We własnym sklepie białym wybiera on sobie tanie a bardzo ładne ubranie, w którym nie gorzej wygląda od niejednego strojnisia. Po południu w niedzielę jedzie na zbiorową wycieczkę, zorganizowaną nadzwyczaj tanio przez kooperatywę.

Powiem wam, że naprawdę weselej, radośniej jest w tym pociągu wiozącym rozśpiewaną rzeszę schludnie ubranych i świadomych już swej siły robotników – niż w tym ekspresie, gdzie na aksamitnych poduszkach przeciągają się senni, znużeni beczynnym życiem panice.

Wieczorem powrót – znów z pieśnią wesołą na ustach. W Domu Ludowym koncert. W skupieniu słuchają robotnicy jak łka wiolonczela pod smyczkiem pierwszego w mieście wiolonczelisty, który za radość uważa sobie grać w domu ludowym.

Zaś w sali obok jeden z wybitnych uczonych zaznajamia słuchaczy z jakąś kwestią naukową.

Tego samego dnia rano były ćwiczenia gimnastyczne i śpiewy chóralne, a potem zbiorowe zwiedzanie któregoś z prześlicznych muzeów prywatnych, do którego pojedynczemu robotnikowi trudno by się było dostać.

Nic też dziwnego, że przy takim trybie życia robotnicy zorganizowani w silne, rozwinięte kooperatywy, mają twarze kwitnące uśmiechem.

Nie obcą jest im już radość życia.

Wesoło idą naprzód, świadomi swej siły i pewni zwycięstwa. Od nikogo nic nie chcą, bo sami mogą tworzyć życie piękne – w ich mocy wszystko. Nie gości już w duszach ich nienawiść, jeno pożądanie sprawiedliwości, chęć, by wszyscy pojęli tę prawdę, że prawdziwie szczęśliwym może być tylko człowiek swobodnie pracujący i pożywający plony swej pracy.

Robotnicy Anglii, Niemiec, Belgii, Włoch, Szwajcarii, są już od dawna na tej pięknej drodze.

Mają już oni te wszystkie kulturalne radości życia, o których tu pisałam. Spieszmy co sił za nimi.

Nad siwą mętną falą rzeki inna grupa robotników. Patrzą na most. Trudno sobie wyobrazić coś piękniejszego nad ten most.

Wysmukłe pną się w górę marmurowe kolumny, lśnią w czarownym zachodzie słońca metalowe liny i pręty.

Ich ręce wzniosły ten most. To most, po którym przebiegają tylko świetne węże pospiesznych pociągów, pół Europy za jednym zamachem odmierzających.

Ot i w tej chwili zagwizdał i mignął, niby długa iskra piorunu, zbytkowny pociąg pierwszej klasy. Wiezie on z krajów, gdzie jeszcze zima panuje – ludzi, którzy chcą zażyć wiosny.

Zabyszczały czarne oczy młodego robotnika, co pogwizdując idzie wzdłuż rzeki. Hej, on ci to wraz z innymi budował te wagony-cacka – w huczących murach fabryki.

I wracając do swoich myśli mozolnie zaczął liczyć, czy będzie mógł z narzeczoną na wiosenną wycieczkę niedzielną na parę godzin pojechać – za miasto.

Widzę i wieś.

Wyszła przed chałupę fernalowa młoda. Spójrzy pod zachód słońca.

Któż to tak ślicznie wyorał pola, tonące w fioletowym oświetleniu zachodu? Jej mąż.

Któż tak równiutko wyradlił i zasadził zagonki buraków, że ciągną się daleko niby sznury zieloniutkich paciorków? Ona to uczyniła wraz z innymi posyłkami z folwarku.

Czemuż nie uśmiecha się radosną myślą do plonu pracy – czemu nie wypocznie? Niewiele jej tam z tego plonu przypadnie. Spogląda na chropawe ręce i myśli o tym, że kopę jaj spod swych kokoszek oddać musi sklepikarzowi za długi w zimę zaciągnięte – a i to jeszcze nie wszystko. Gdzie jej tam myśleć o radościach wiosny.

Jak smutno.

W śliczny majowy dzień wiosenny, jakby na to stworzony, by ludzie kochali się i cieszyli pięknem świata – zaczynają wśród wyległych na świat Boży tłumów nurtować żal i gniew.

Gniew robotników, którzy ciężką pracą tworzą bogactwa, a sami nie mogą z nich używać, robotników, którym dostępne są tylko przyziemne, niskie przyjemności, kiedy dla drugich otwarte najsubtelniejsze piękno i radość, choć życie ich upływa bez trudu.

Praca nie jest łatwa. Jest pełna mozołu, krwawego trudu i wysiłku. I w tym całe jej piękno, bo wysiłek jest jedynym sposobem doskonalenia się – a

doskonaleństwo najwznioślejszym celem życia. Gdy wchodzicie na szczyt góry, wiecie, że im wyżej, tym piękniejszy widok was czeka, ale by tam dojść, dobrze namozolić się trzeba. Z pracy też powinna płynąć największa radość życia. „Tworzę i jestem dumny i wesoły, że oto potrafię tworzyć rzeczy tak piękne”, myśli pracujący robotnik. – „Używam tego, co stworzyłem – myśli dalej – i radość mam wielką z tego spożywania. Bo słodko jest spożywać plon własnej pracy”.

Ale czy tak dziś jest na świecie? Kto dziś spożywa plon własnego trudu?

Och, jak niesprawiedliwe jest dzisiejsze życie! Wszak ci, którzy spożywają najpiękniejsze owoce pracy, nic nie wiedzą o krwawym trudzie, z którego te owoce wyrosły. A ci, którzy pracują, trudzą się i mozolą od świtu do nocy, tak skąpo ich używają, że można powiedzieć, iż nie wiedzą oni nic o słodczy własnego plonu.

Trud i mozół pracy przypadają w udziale jednym – a radość i triumf z niej drugim. Kapitał i przedsiębiorcy rękami robotników wytwarzają olbrzymie bogactwa, wielkie góry produktów spożywczych – o wiele przewyższają potrzeby ludności. Zdawałoby się, że wszyscy będą mieli produktów tych pod dostatkiem – a tymczasem całe rzesze robotników muszą sobie odmawiać nawet znośnego życia – spożywać zaś wedle potrzeby, a nawet wedle kaprysu, może tylko niewielka stosunkowo garść ludzi.

Czyż dziwne jest, że w tak urządzonym świecie krzewi się nienawiść jednych ku drugim? Czyż dziwne jest, że zbytki tych ludzi, którzy bez żadnego wysiłku dzięki posiadanym kapitałom mają zapewnione wszystkie radości życia, rosą do przerażających rozmiarów?

I że ci ludzie, którzy, pracując ciężko całe życie, nie są w możności pozwolić sobie nawet na pójście do teatru lub inną jakąś przyjemność bez uszczerbku dla jutra – pogrążają się często w myślach mściwych i nienawistnych?

Czyż nie zgodzicie się na to, czytelnicy, że lepiej na świecie będzie wtedy, gdy wszystkie radości będą przystępne dla wszystkich, kiedy pracować będą wszyscy, i każdy stanie się nie tylko panem owoców swej pracy, ale będzie mógł korzystać z wyników kultury, każdemu człowiekowi niezbędnymi potrzebnymi.

Ludzie pracy, którzy są większością tak znaczną w każdym narodzie – dążą od dawna do tego i wielkie już na tej drodze uczynili postępy.

Plon pracy zabiera robotnikowi nie tylko jego bezpośredni pracodawca – gdy go lichy płaci. Zabiera mu go również wszelki pośrednik handlowy. On sprzedaje mu towary złe, podczas gdy robotnik pracą swą zasłużył przecie na

spożywanie rzeczy dobrych. On podnosi cenę towarów, aby odebrać robotnikowi tę podwyżkę płacy, który ten od pracodawcy uzyskał – on wpędza go w sieć kredytu, który jest początkiem robotniczej nędzy. On trzyma w swoim ręku wiele źródeł kulturalnych rozrywek i czyni je tak drogimi, że robotnik z nich korzystać nie może. Wiemy, że kooperatywa spożywcza pomaga właśnie robotnikowi do wyswobodzenia się z pęt handlowego pośrednictwa, a przez to przywraca mu ona część szczupłego plonu jego pracy. Jeśli jeszcze dodamy, że stawia ona sobie jako najwyższe zadanie dążenie do zniesienia upokarzającego najemnictwa i zastąpienie go zrzeszoną pracą „sami sobie” w związkach i spółkach, to przyznamy, że jest ona olbrzymim pomocnikiem robotnika w wędrówce do nowego życia. I nie potrzebujemy mówić, że kiedyś, w przyszłości zapewni ona robotnikom wielkie dobrodziejstwa – wyzwala ją pracę spod przemocy kapitału.

Ona już **dziś**, o ile podtrzymywana jest mocną wolą i wytrwałością członków, pozwala im korzystać z tego, co dotąd robotnikom było jakoby przez „wyższą” siłę kapitału zabronione. Ona przywraca pracującym ludziom choć trochę **radości życia**, która tak bardzo im się należy. Ona temu, kto trudzi się i mozoli, daje uśmiech i możliwość wzbogacenia duszy i serca radością, wiedzą i kulturalną rozrywką.

Jakże to czyni?

Wszak wiemy, że kooperatywa to instytucja, gdzie robotnik bez żadnego trudu może oszczędzać. Oszczędności – to kapitały. Te kapitały dają możliwość polepszenia i rozweselenia robotniczego życia.

Przede wszystkim dywidenda wypłacana robotnikowi – może już być dla niego źródłem jakiejś przyjemności. Pozwala mu ona kupić sobie bilet do teatru lub na koncert – daje możliwość dzieci i żonę powieść za miasto w majową niedzielę, bez obawy zrobienia uszczerbku w „jutrzejszym” budżecie. Kooperatywa wygania powoli troskę o jutro z jego ubogiej izby.

Ale to nie wszystko.

Dywidenda to jednorazowa i mała oszczędność. Całą treścią kooperatywy, jak to już nieraz mówiliśmy, jest ta część oszczędności, która się składa na kapitał społeczny.

Z tego do kapitału obok innych rzeczy płyną wielkie kulturalne korzyści dla robotnika, płynie jego radość życia. Już robotnik nie potrzebuje się oglądać tęsknymi oczyma na piękne, a drogie teatry, na zbytkowne pociągi, na sale koncertowe i odczytowe, które mu są za drogie.

Kooperatywa myśli o tym, by to wszystko urządzić i pobudować. Powstaje Dom Ludowy, w którym, miast szynku, jest wykwintna kawiarnia-